



Perypetie
rezolutnej
singielki
w odwiecznych
poszukiwaniach
szczęścia i miłości

Singielka W LONDYNIE

Marta
Matulewicz

LIRA
WYDAWNICTWO

Singielka
W LONDYNIE

Marta Matulewicz

Singielka
W LONDYNIE

L i R A
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2018

ISBN: 978-83-65838-42-1

Przeszłam pomyślnie kontrolę paszportową i stwierdziłam, że potrafię sobie poradzić ze wszystkim. Na dodatek bramka, którą potem musiałam przekroczyć, nie piszcziała. Nie musiałam więc zdejmować butów i nie miałam przeszukiwanego bagażu. Wspaniale, nie ma to jak szczęśliwa wróżba na początek nowej drogi życiowej.

Potrafię to zrobić — powtarzałam sobie w myślach jak mantrę. Potrafię z dnia na dzień zostawić pracę recepcjonistki w modnej siłowni, potrafię, bez uronienia jednej łzy, rozstać się ze zdradzającym mnie facetem, potrafię przytyć (cóż, nie można mieć wszystkiego) dowolną liczbę kilogramów w bardzo krótkim czasie i potrafię wyssać z powietrza cały cellulit. Taka jestem zdolna. Nie będę na razie myślała o rzeczach, których nie potrafię robić, nie po to kupiłam sobie tusz do rzęs

za całe dwadzieścia pięć złotych, aby teraz, na lotnisku w Goleniowie, wyglądać jak panda.

Lecę do Wielkiej Brytanii i mam zamiar być tam szczęśliwa, bogata i szczupła. Wybrałam Londyn, bo skoro już mam żyć w innym państwie, w wielomilionowej społeczności, to chcę mieszkać ze swoją przyjaciółką Zosią, która z dobroci serca zaprosiła mnie do swojego domu. Zawsze podobała mi się stolica Anglii — na zdjęciach i filmach. W opowieściach Zosi również wypadała intrygująco, do tego ludzie posługiwali się językiem, który w znacznym stopniu rozumiałam. Będzie to dla mnie bardzo ciekawe doświadczenie. Różne języki, różne kultury... Ach, może tam czeka na mnie książe z bajki! W Polsce księżęta z nieznaney mi przyczyny omijali mnie szerokim łukiem. Przecież nie wymagam aż tak dużo. W swoim dwudziestopięcioletnim życiu miałam dość mężczyzn, którzy udawali, że mnie kochali, udawali, że są singlami (choć biały pasek na serdecznym palcu mówił sam za siebie), lub udawali, że mają pieniędzy w nadmiarze (potem okazywało się, że w nadmiarze to mieli długów komorniczych). Ech, ale dość już tych smutnych rozmyślań — pora na nowe doświadczenia!

Rozejrzałam się po poczekalni, w której przyszło mi czekać na samolot. Znajdowały się tu rodziny z dziećmi, pary szczęśliwe, pary skłócone, małżeństwa z długim stażem i oczywiście single. Ci interesowali mnie najbardziej. Przemyślenia przerwał komunikat wydobywający

się z głośników umieszczonych nad głowami czekających. Miły damski głos poinformował czekających, że odprawa na lot do Londynu Stansted właśnie się rozpoczęła. Wstałam z plastikowego, niewygodnego krzesła i wyrzałam przed siebie. Przede mną już formowała się kolejka, a na samym jej początku stała kobieta ubrana w mundurek i z uśmiechem prosiła o pokazanie karty wstępu na pokład (dlaczego nie może powiedzieć, że chce zobaczyć bilet!) oraz karty *priority* (o matko, co to za karta?! dlaczego ja jej nie mam?!). Już po chwili pracownica lotniska ze zdenerwowaną miną oraz głupim i nienaturalnym grymasem, który miał być uśmiechem, powtórzyła w moją stronę:

— A gdzie pani karta *priority*?

— Eeee... nie mam — wymamrotałam. W tym momencie pasażerowie mieli już niezły ubaw, a moja twarz przybrała odcień buraka.

— To proszę przejść do kolejki obok.

Spojrzałam w bok, gdzie kłębił się tłum. Posłusznie wyszłam z ogonka, żeby nie narobić sobie jeszcze większego wstydu. O co chodzi z tą kartą pierwszeństwa? Przecież każdy pierwszy nie będzie. Znalazłam koniec drugiej kolejki, który wydawał mi się tak odległy od mojego poprzedniego miejsca, że postanowiłam pójść jeszcze na małą kawę do kawiarni obok. A co mi tam. Po co stać tyle czasu, skoro mogę sobie usiąść, wypić espresso i poczekać. Spokojnie zatem piłam, obserwując pasażerów znikających w korytarzu prowadzącym

na płytę lotniskową. Nagle mój telefon w kieszeni marynarki zaczął dzwonić. Miałam nastawiony najgłośniejszy dzwonek i wibracje. Trzęsącymi się rękoma chwyciłam komórkę, potrącając przy okazji filiżankę z kawą, która wylała się na moje nowe, białe dżinsy. Wstałam szybko od stolika, żeby ratować sytuację i spodnie. Tymczasem kolejka do kontroli zrobiła się wyjątkowo krótka i już teraz powinnam się ustawić. Co zrobić? Lecieć do łazienki i czyścić spodnie? Ustawić się do wejścia na pokład z dość widoczną, brązową plamą na białej odzieży?! Co za wstyd. Jak ja się ludziom pokażę! To oczywiście moja wina, kto mądry na podróz zakłada białe dżinsy. Chciałam wyglądać stylowo, z klasą, jak Jackie Kennedy Onassis. Oczywiście ona nigdy nie oblałaby się kawą (pewnie przezornie zamówiłaby wodę albo oblałby ją jakiś przystojny milioner i w ramach zadośćuczynienia zaprosił na pokład swojego prywatnego odrzutowca), a co najważniejsze — nie musiałaby stać w długim ogonku do samolotu. I tak stałam przy stoliku, w jednej ręce trzymając filiżankę z kawą, a w drugiej telefon. Spojrzałam w kierunku kolejki, która jak na złość bardzo szybko się zmniejszała i już tylko dwie osoby czekały na kontrolę.

Uprzejma pani przywołała mnie ruchem ręki, dając do zrozumienia, że jeśli chcę lecieć, mam do niej podejść natychmiast. Wydawało mi się, że wszyscy patrzą tylko na tę plamę, która przybrała rozmiary średniego jeziora. Jak na złość wszystkie moje ciuchy wysłałam

wcześniej do Zosi, żeby nie płacić za nadbagaż. Dlaczego nie zabrałam zapasowych spodni?!

Podeszłam do stewardesy i oddałam jej moją kartę wstępu na pokład. Spojrzała na mnie, uśmiechnęła się (nie wiem, czy z grzeczności, czy ze współczucia) i oddała mi połowę mojego biletu (drugą połowę zatrzymała dla siebie), po czym mogłam już udać się do samolotu. Na filmach widziałam, jak wygląda cała procedura związana z lataniem, pokazywali, że jest podstawiany rękaw lotniczy, który ułatwia podróżnym znalezienie się w samolocie bez konieczności wyjścia z lotniska na płytę... Tutaj się zawiodłam, sama musiałam zejść po schodach, a na dodatek do samolotu stała znów długa kolejka pasażerów. Opornie to szło. Stałyśmy (ja i moja plama) na płycie lotniska, modliłam się, aby w tym momencie nie spadł deszcz. I tak obrazek był wystarczająco żałosny...

W końcu dotarłam na schody prowadzące do samolotu. Podałam swoją kartę pokładową i patrząc na cyferki oznaczające miejsca, zaczęłam szukać swojego. Uświadomiłam sobie z przerażeniem, że znajduje się ono prawie na środku samolotu. Cudem posuwałam się do przodu, musiałam czekać, aż pasażerowie usiądą, bym mogła przejść dalej. Jeszcze raz nerwowo spojrzałam na bilet, aby upewnić się, które miejsce jest moje. Z niedowierzaniem dostrzegłam, że siedzi na nim jakiś młody człowiek.

— Przepraszam pana, ale zajął pan chyba moje miejsce.

Mężczyzna spojrział na mnie, jakbym właśnie powiedziała do niego coś po chińsku.

— Nie wydaje mi się. — Rozparł się wygodnie na swoim fotelu, uważając rozmowę za zakończoną. Oczywiście naszej wymianie zdań przyglądała i przysłuchiwała się połowa pasażerów. Nie ma to jak drobna awanturka na początek lotu.

— Ależ tak. — Staralam się, by mój głos brzmiał stanowczo.

Facet westchnął tylko i zapytał:

— Jaki ma pani numer siedzenia?

— Sześćdziesiąt osiem — odparłam, starając się, by zabrzmiało to wyniosłe i pewnie. Byłam przekonana, że zajął moje miejsce, a na dodatek jeszcze się awanturuje.

— Prawa czy lewa strona?

W tym momencie poległam. Wiedziałam, że jak zwykle pomyliłam prawą stronę z lewą (oto jeden z powodów, dla których nigdy nie będę jeździć autem, choć mam prawo jazdy). Próbowałam jeszcze jakoś wybrnąć z tej głupiej sytuacji, mówiąc, że to właśnie jest lewa strona, czym z pewnością pograżyłam się doszczętnie.

— Myli się pani, to jest prawa — powiedział i spojrział na mnie z poirytowaniem i litością jednocześnie.

Chciałam go wywalić z siedzenia, które zajmował zgodnie ze swoim biletom! Czy to pasmo porażek dziś się skończy? Przecisnęłam się na właściwe miejsce z głupim uśmiechem na twarzy, usiadłam i zdjęłam kurtkę. Ale co mam zrobić z bagażem podręcznym?

Inni pasażerowie ładowali swoje torby na specjalne plastikowe półki umieszczone nad siedzeniami. Stewardesa podeszła do mnie i zaproponowała, bym trzymała swoją torbę pod nogami. Wepchnęłam ją szybko pod siedzenie, zapięłam pas i otarłam pot z czoła... Udało się, teraz już będzie tylko lepiej.

Na szczęście miałam fotel przy oknie, więc mogłam obserwować kawałek lotniska. Po chwili zauważyłam, że stewardesa zamyka drzwi do samolotu, a jej koleżanka podchodzi do słuchawki telefonicznej zawieszanej na ścianie, podnosi ją i w tym momencie usłyszeliśmy komunikat:

— Witam państwa bardzo serdecznie na pokładzie samolotu lecącego z Goleniowa na lotnisko Londyn Stansted. Jest godzina ósma. Startujemy o czasie, pogoda jest idealna, temperatura powietrza wynosi dwadzieścia stopni Celsjusza, nie wieje wiatr. Lądujemy o dziesiątej czterdzieści pięć i mamy nadzieję, że uda nam się dotrzeć na czas.

Coś jeszcze mówiła, ale zaryczały silniki. Widziałam przez okno rozpędzające się koła samolotu, który nabierał coraz większej prędkości. Byłam oczarowana do momentu, w którym odbiliśmy się od ziemi i maszyna zaczęła się wznosić. Zakręciło mi się w głowie, w uszach zaczęło dzwonić... Na szczęście objawy ustały szybko. Samolot znalazł się w chmurach, w białej mlecznej mgłę.

Mama czasami mi powtarzała, że mam głowę w obłokach, i teraz miałaby zupełną rację. Ujrzałam słońce

i ten widok spowodował, że zupełnie zamarłam. Białe lekkie chmury pod moimi nogami, czy raczej pod samolotem, i piękne pomarańczowo-różowe słońce. Bezmiar błękitu i przestrzeń.

Chciałam zatrzymać tę chwilę na zawsze pod powiekami. Żałowałam, że maszyna wznosi się jeszcze, pragnęłam zostać w tym raj. Zapaliła się lampka sygnalizująca, że mogę rozpiąć pas bezpieczeństwa. Wreszcie. Stewardesa przez słuchawkę potwierdziła, że znajdujemy się na bezpiecznej wysokości, a za parę minut jej koleżanka Sylwia zacznie przyjmować zamówienia. Wspaniale, może napiję się jeszcze kawy? Poprzedniej przecież nie dopiłam. Tak, zdecydowanie należy mi się po tych wszystkich stresach odrobina przyjemności. Rozpięłam pas i zaczęłam przyglądać się swoim współpasażerom. Obok mnie siedział facet, który ważył chyba ze sto kilogramów — tajemnicą było dla mnie, jak wcisnął się w te wąskie siedzenia. Nie dość, że był gruby, to jeszcze wysoki. Nie wiem, jak ja się koło niego precyzyjnie do łazienki. Na ostatnim miejscu siedział chłopiec, mniej więcej siedmioletni, czytający komiks. Wymarzonego księcia ani śladu.

Usłyszałam wózek i zobaczyłam stewardesę. Poprosiłam o kawę, chociaż nie powinnam, bo wiedziałam, że po jej wypiciu na pewno będę biegać do łazienki. Moi współpasażerowie nie mieli na nic ochoty. Zrozumiałam dlaczego, gdy stewardesa poprosiła o należność za kawę. Myślałam, że jest za darmo, cena

zwaliały mnie z nóg, gdybym nie siedziała. Za tyle mogłabym kupić całe opakowanie! Trudno, z bólem serca podałam jej należność. Uśmiechnęła się i powiedziała, że za pięć minut dostanę swoje zamówienie. Oparłam się o siedzenie, zamknęłam oczy i wzięłam głęboki wdech. Miałam nadzieję, że uda mi się choć trochę rozluźnić. Ostatnie dni spędzone na pakowaniu, zegnaniu z rodziną, Robertem, były dość stresujące.

Robert — moja była niedoszła miłość — nie wiedział, czy ma być załamany, bo go zostawiam, czy cieszyć się z odzyskanej wolności. Wrażliwość norki, ale jaka uroda... Poznaliśmy się rok temu na domowym sylwestrze organizowanym przez wspólnego kolegę — Jacka. W sumie nie mogę powiedzieć, że była to miłość od pierwszego wejrzenia, choć starałam się to sobie wmówić. Może ja nie potrafię się tak zakochać albo to jeszcze jeden mit. Spędziliśmy ze sobą cały wieczór i noc, fajnie nam się rozmawiało i tańczyło. Robert zachowywał się szarmancko. Do tego był najprzystojniejszym facetem na imprezie. Nie miałam nic do stracenia. Związałam się z nim bardziej z nudów i lęku przed samotnością niż z miłości. Był zawsze miły, wypachniony, przystojny, przyciągał wzrok, fajnie było mieć go u swego boku na imprezach. Wydawało mi się, że jesteśmy szczęśliwi — do momentu, w którym dowiedziałam się, że mnie zdradza. Byliśmy na kolacji w nowo otwartej restauracji. W pewnym momencie podeszła do nas kelnerka i wylała na Roberta dzbanek zimnej wody...

wykrzykując przy tym całą prawdę o ich znajomości. W sumie nie przysięgaliśmy sobie wierności, ale są sprawy, które powinny być oczywiste. Dotknęło mnie, że za moimi plecami umawiał się z inną lub innymi. To nawet nie była zazdrość, raczej mnie to wkurzyło. To tak, jakby ktoś bez pytania pożyczył twoją ulubioną torebkę. Robert przeproszał i mówił, że możemy być ze sobą na poważnie, ale czy mogłabym zaufać ponownie facetowi, który nie jest uczciwy od samego początku? Czy mogłabym być z tą samą torebką?

W tym właśnie momencie mojego życia zadzwoniła Zosia z zaproszeniem do Londynu. Nie opierałam się długo. W czerwcu skończyłam filologię angielską na Uniwersytecie Szczecińskim z bardzo dobrą oceną. Wacacje minęły, rozpoczął się wrzesień. W siłowni, w której pracowałam, miałam dostać cały etat wraz z podwyżką. Czułam się doceniona, ale czegoś brakowało...

— Bardzo proszę, pani kawa. — Moje myśli prze-rwała stewardesa. Rozłożyłam sobie małą tackę przy-mocowaną do siedzenia i ponownie pogrążyłam się w zadumie.

Praca w siłowni była ciekawa, lubiłam ruch, lubiłam klientów, szef był w porządku. Finansowo też nie mogłam narzekać. Znajomi mówili mi, że mam szczęście, udało mi się znaleźć tak fajną robotę. Doceniałam to, lecz... No właśnie, czegoś brakowało. Zaproszenie od Zosi spadło mi z nieba. Od razu postanowiłam z niego skorzystać. Rodzice nie byli do końca przekonani,

czy powinnam jechać, ale po omówieniu wszystkich za i przeciw zgodzili się, a nawet dali swoje błogosławieństwo na ten wyjazd oraz pieniądze na pierwszy miesiąc życia. Spakowałam się, zrezygnowałam z pracy ku rozczarowaniu mojego szefa, pożegnałam bez żalu Roberta i oto jestem na pokładzie samolotu.

Z Zosią poznałam się na pierwszym roku studiów filologii angielskiej i już na samym początku naszej wspólnej nauki bardzo się polubiłyśmy. Zupełnie nie rozumiałam, po co Zosi te studia. Świetnie mówiła po angielsku, nauka przychodziła jej z wyjątkową łatwością, co mnie chwilami doprowadzało do szału. Kiedy ja wkuwałam wszystkie zasady, czasy, tryby, słówka, ona latała na randki. Zosia to moje totalne przeciwieństwo. Jest bardzo szczupłą, ognistorudą kobietą, ma duże zielone oczy i mnóstwo uroku osobistego. Doskonale wie, jak te atuty wykorzystywać, szczególnie w kontaktach z płcią przeciwną. Nasi wykładowcy wiele razy szli grupie na rękę pod wpływem Zosinej urody. Na dodatek natura nie poskąpiła jej intelektu — Zosia ukończyła licencjat celująco chyba ze wszystkich przedmiotów i postanowiła wyruszyć na podbój Wielkiej Brytanii. Tak jej się spodobało, że zdecydowała o pozostaniu na stałe w Londynie, ku wielkiej rozpaczycy rodziców, którzy woleliby mieć ją na oku w Szczecinie. Od tego czasu utrzymywałyśmy telefoniczne i mailowe kontakty, planując, że kiedyś, w bardzo dalekiej przyszłości, do niej przyjadę.

Wypiłam kawę i poczułam, że mój pęcherz protestuje. Spojrzałam na zegarek i szybko policzyłam, ile jeszcze będziemy lecieć. O nie! Lot ma trwać jeszcze około czterdziestu minut. Dam radę. Wytrzymam. Kurczę, nie, jednak muszę iść do łazienki, tylko jak? Facet obok mnie śpi, a na dodatek totalnie zatarasował przejście. Może jednak uda mi się go przekroczyć. Tak, to jest myśl. Podniosłam nogę i przerzuciłam ją niezdarnie nad kolanami mojego sąsiada. Udało się, lecz gdy chciałam ten manewr powtórzyć z drugą kończyną, samolotem zatrzęsło. Nie potrafiłam utrzymać równowagi, nie miałam się czego złapać i oczywiście poleciałam na rozłożystego jegomościa, siadając na nim okrakiem całymi moimi pięćdziesięcioma pięcioma kilogramami. Obudził się, spojrzał na mnie z dziwnym błyskiem w oku. Chyba mu się spodobało, a może zrealizowałam jego senne fantazje?

— Przepraszam — wybąkałam, czerwona po koniuszki włosów.

— Nic się nie stało, zawsze do usług. — Uśmiechnął się do mnie szarmancko.

Czy on sobie pomyślał, że na niego leczę? A niech facet coś ma od życia. Czerwona jak burak (znów!) jeszcze raz przeprosiłam, a on ponownie powiedział, że naprawdę nic się nie stało i że mogę tak zostać do końca podróży. W tym momencie zorientowałam się, że cały czas siedzę na jego kolanach. Podskoczyłam jak oparzona i pospiesznie oddaliłam się do toalety. By otrząsnąć

się z szoku, próbowałam sobie wyobrazić, jak wygląda pilot samolotu, może jest superprzystojnym brunetem o brązowych oczach i seksownym uśmiechu...

Miałam szczęście, łazienka była wolna. Z pewnością siebie — tak, jakbym całe życie korzystała z samolotowej toalety — otworzyłam drzwi i weszłam do środka. Powiedzieć, że miałam miejsce na cokolwiek poza zdjęciem majtek, byłoby kłamstwem. Skorzystałam z niej szybko, modląc się, aby niczego nie obsikać. Po skończeniu zaczęłam szukać spłuczki. Znalazłam niebieski kwadracik w ścianie, który po naciśnięciu wydał taki huk, że uciekłam z toalety przestraszona, zapominając o umyciu rąk. No trudno. Nie ja pierwsza, nie ostatnia. Powróciłam na swoje miejsce, modląc się, aby facet nie rozpoczął flirtu, jeszcze tego mi brakowało. Postanowiłam jedno: muszę wziąć się w garść, będę bardziej rozważna, pragmatyczna i zdecydowanie mniej romantyczna. Stewardesa przez mikrofon poinformowała, że za dwadzieścia minut będziemy lądować. I dobrze, bo latania to mi wystarczy na bardzo długo.

Poczułam, jak samolot się obniża, w sumie powoli, ale i tak kręciło mi się w głowie, a na dodatek było mi strasznie niedobrze. Odmówiłam chyba ze sto zdrowasiek, aby nie zwymiotować. Przecież nie mogę stanąć na ziemi brytyjskiej w zarzyganych spodniach, i tak mam już na nich plamę po kawie. W sumie plama na honorze byłaby ukoronowaniem całości... — pomyślałam smętnie. Modlitwy odniosły oczekiwany skutek. Samolot

obniżył lot i wylądował dość płynnie. Wyrzałam przez okno i nie mogłam uwierzyć, że nie widzę miasta, tylko pola. Nie wiem, czego się spodziewałam, ale na pewno nie tego. Zosia namówiła mnie, bym wysłała wcześniej swoje ciuchy przez firmę kurierską i dlatego mogłam powitać moją najlepszą przyjaciółkę w brudnych dżinsach. Choć myśląc obiektywnie, z bagażem byłoby pewnie trudniej: na pewno musiałabym się teraz martwić o walizkę, która — znając moje szczęście — zaginęłaby gdzieś pomiędzy Goleniowem a Dublinem.

Po odprawie, którą przeszłam bez żadnego problemu, skierowałam się do wyjścia. Modliłam się, by Zosia czekała na mnie za rozsuwającymi się drzwiami. I rzeczywiście, stała tam: wysoka, piękna, elegancka, skupiająca na sobie uwagę podróżnych, szczególnie tych płci męskiej. Wyglądała świetnie, zresztą jak zwykle. Przy niej czułam się trochę jak kocmołuch. Podniosłam dumnie głowę. Nie ma mowy, bym opowiedziała o moich dzisiejszych przygodach, jestem Europejką, a nie prowincjuszką. Przysłoniłam niezdarnie płamę torebką i uśmiechnęłam się promiennie.

— Ewa! — zawołała z radością przyjaciółka, po czym szybko podeszła w moją stronę, wycalowała mnie w oba policzki, wyściskała, odeszła krok w tył, spojrzała na mnie uważnie bystrym wzrokiem, po czym stwierdziła: — Dobrze wyglądasz.

— Taa... Szczególnie z plamą po kawie. — Roześmiałam się.

— Co się stało? Musisz mi wszystko opowiedzieć.
— Złapała mnie pod rękę.

— Mowy nie ma, będziesz się ze mnie śmiać do końca życia. — I na potwierdzenie tych słów moje policzki zapłonęły. W tej samej chwili ogromny towarzysz z samolotu pomachał mi wylewnie i zawołał:

— Może da mi pani swój numer?

Zignorowałam go, lecz Zosia szepnęła konspiracyjnie:

— Oj! Czuję, że na wysokości tysięcy kilometrów wydarzyło się coś gorącego.

Spojrzałam na swoje spodnie i powiedziałam:

— Czy oblanie kawą się liczy? Bo to jedyne, co mnie gorącego spotkało, i nie w samolocie, a jeszcze na lotnisku w Goleniowie. — W życiu nie pisnę słowa o moim upadku (na szczęście tylko fizycznym, a nie moralnym) na kolana sąsiada.

Zosia roześmiała się serdecznie.

— Tym bardziej musisz mi wszystko powiedzieć, a teraz chodźmy stąd, złapiemy autokar do Londynu — powiedziała, sprawdzając coś w swoim telefonie. Masz swój bagaż?

— Tak, mam. — Pokazałam torebkę.

W tym momencie moja przyjaciółka spojrzała na mnie, jakbym zupełnie zwariowała.

— Co udało ci się zmieścić do tak małej torby?

— Na pewno nie spodnie na zmianę — odpowiedziałam. Dlaczego wечно rozmawiamy o mojej plamie...?

— Nic się nie martw. — Zosia objęła mnie ponownie ramieniem. — Przebierzesz się w domu. Tu i tak nikt na nikogo nie patrzy.

— Jasne. — Dosłownie wszyscy na nas patrzyli, a raczej na nią, która w pięknej zielonej sukience podkreślającej kolor oczu wyglądała zjawiskowo. O swoim wyglądzie nawet wolę nie myśleć. To tyle z podróżowania w stylu Jackie Onassis.

Przeszliśmy przez halę przylotów na dworzec. Na stanowisku numer siedemnaście stał już duży, czysty i nowoczesny autokar. Przed wejściem młody chłopak sprzedawał lub sprawdzał bilety. Wyglądał pięknie — o ile tak można powiedzieć o mężczyźnie. To chyba pierwszy Latynos, którego widziałam na żywo. Był niezwykle przystojny, taka młodsza wersja Antonio Banderasa. Będzie się działo w Londynie! Młodsza kopia hiszpańskiego gwiazdora sprawdziła bilety i z uśmiechem wpuściła nas do środka.

Usiadliśmy z tyłu i zaczęliśmy wymieniać się plotkami. Kto z kim zerwał, kto z kim się ożenił, kto zaszedł w ciążę, kogo zwolnili i tym podobne informacje przelatywały pomiędzy nami w zawrotnym tempie. Jednocześnie starałam się wyglądać przez okno, aby nie stracić ani chwili. Interesowało mnie wszystko: autostrada, auta i kierowcy, zielone tablice. W pewnym momencie autokar wjechał na duży most. Spojrzałam przed siebie i zobaczyłam panoramę Londynu, którą delikatnie rozświetlało poranne słońce. Byłam coraz

bardziej podekscytowana. Widziałam oczywiście na zdjęciach główne atrakcje tego niezwykłego miasta, takie jak Big Ben, London Eye czy Tower Bridge, ale teraz tu byłam. Autokar mijał z dużą prędkością domy, sklepy, ulice, puby, targi, muzea, parki, zmierzając do centrum. Było tego tak dużo, że nie widziałam, gdzie mam patrzeć. Zosia przykleiła się na chwilę do swojego telefonu, dzięki czemu chłonęłam w ciszy wszystko to, co działo się za oknem.

— Zobacz, Ewa.

Odwróciłam głowę w tę stronę, którą wskazała mi Zosia. Moim oczom ukazał się Big Ben, potem opactwo Westminster i London Eye. Na żywo wyglądało wspaniale, już nie mogłam się doczekać, kiedy będę mogła zwiedzać to piękne, ogromne miasto. Autokar, nie zatrzymując się, jechał dalej.

Mijaliśmy wieżowce ze stali i szkła; wcześniej widywałam je w telewizji, a teraz były na wyciągnięcie ręki... W końcu, ku mojemu smutkowi, autokar zatrzymał się na przystanku autobusowym. Szarym, brzydkim i nijakim. Zosia wstała i skierowała się do wyjścia, a ja za nią, z nadzieją, że się nigdzie nie zgubię.

Dworzec Victoria zrobił na mnie wrażenie. Gdy weszłyśmy do ogromnego budynku, zobaczyłam wiele sklepów, duże kasy, mnóstwo maszyn biletowych, restauracje, małe puby — a nad tym wszystkim ogromną tablicę, na której widać było godzinę odjazdu pociągu, numer peronu oraz mijane stacje. Gdybym chciała,